

Rozdział 1

Poznałam go, gdy był starym, pomarszczonym człowiekiem uginającym się pod ciężarem przeżytych lat. Nie było w nim jednak spokoju ani powolności charakterystycznych dla ludzi w tak sędziwym wieku. Patrzył na mnie rzadko, odwracał wzrok, gdy tylko nasze spojrzenia się spotkały i całą uwagę skupiał na obieraniu jabłka. Ścinał skórkę i wkładał ją do ust w sposób kojarzący mi się z tym, jak żaba łapie muchy czy jaszczurka szarańczaki. Wysuwał język, obierka przyklejała mu się do niego, a męczyzna zachłannie wciągał ją do ust. Ledwie mogłam dostrzec moment, w którym ginęła pomiędzy jego zębami. Jednak zerkał na mnie co jakiś czas, nie przestając obierać jabłka, wzbudzając niepewność. Nie wiedziałam, czy mam się pośpieszyć i już wyjść, czy drażnię go swoimi opowieściami o tym, co słyszać w świecie – tym bliższym, sąsiedzkim, i tym dalszym, o którym mówią w radiu i telewizji – czy wręcz przeciwnie, przysłuchuje mi się, ciekaw nowych wieści. Tupał niecierpliwie nogą, niekiedy chrząkał, ale nie odzywał się ani słowem.

Czasem zwracałam się do niego bezpośrednio:

– Panie Skowronek, nie potrzebuje pan czegoś? Autem raz-dwa dowiozę.

Zrywał się wówczas z krzesła, kręcił głową, czasem podnosił ręce, jakby chciał coś wyrazić gestem, ale zaraz opuszczał je zrezygnowany. Machał nimi na odczepnego i wychodził z kuchni, w której spędzaliśmy najwięcej czasu. Pierwsze kroki stawiał drobne, ledwie odrywając nogi od ziemi, ale nim przeszedł przez drzwi, jego chód stawał się pewny, a postawa wyprostowana. W domu nieporadny dziadzius, dla sąsiadów starszy pan o wyglądzie i manierach byłego wojskowego. Prężny, pełen werwy, umiejący załatwić wszystko i to dla każdego, kto go poprosił o pomoc.

Zapytałam kiedyś jego żonę, czy mu przeszkadzam – od czasu, kiedy zaczęłam ich odwiedzać, nie odezwał się do mnie ani słowem, często wychodził za dom, skąd doskonale słyszałam jego donośny głos. Piękny głos, muszę przyznać, niski, radiowy, przypominający mi ten Fronczewskiego. Lubiłam go słuchać.

– Nie, skarbie. Widocznie przypominasz mu kogoś.

– Kogo?

– A czort go wie... – Machnęła ręką, jakby odganiała natrętne muchy. – Czasem lepiej nie pytać, bo wpada w ten swój stan...

„Ten swój stan” oznaczał, że Radosław Skowronek stawał się niewidzialny dla świata i świata wokół niewidzący. Siadał w fotelu w pokoju, w którym stał kolorowy telewizor z poprzedniej epoki, z wypukłym kineskopem i obudową wielkości małego kredensu. Odnosiło się wrażenie, że fotel wchłania mężczyznę, zagarnia jego ciało, sprawiając, że staje się mniejsze, wręcz zespolone z wysiedzianymi już poduszkami, wytartymi podłokietnikami czy wgniecionym oparciem. Jeśli Maria Skowronkowa przykrywała fotel narzutą, by obicie nie wycierało się tak szybko, ta zdawała się oplatać mężczyznę, a on dosłownie stapiał się z grubym, zapewne ręcznie robionym, wełnianym kilimem w geometryczny wzór. Skóra Skowronka wyglądała wtedy jak przyozdobiona brązowymi trójkątami. Mężczyzna siadał naprzeciwko telewizora, nie włączwszy go uprzednio, ale wbijał wzrok w czarny ekran, jakby w tej czarnej pustce dostrzegał coś tak interesującego, że świat wokół przestawał istnieć. Nie odzywał się wtedy do nikogo, nawet nie zwracał uwagi, gdy pani Marysia stawiała obok niego herbatę czy jakąś przekąskę. Potrafił nie ruszać się tak przez bardzo długi czas, wpatrując się jedynie w telewizor. Nie pił, nie jadł, nie chodził do toalety. Twarz mu tężała, udawało mu się nawet praktycznie nie mrugać, co dziwiło mnie niepomrotnie. Dłonie zaciśnięte na podłokietnikach były nieruchome, blade, jakby odpłynęła z nich cała krew. Tkwił w bezruchu godzinami, a pani Marysia twierdziła, że nawet i dniami.

– I co wtedy pani robi? – dopytałam, by podtrzymać rozmowę, bo odpowiedź słyszałam już wielokrotnie.

– Nic. A co niby mam? Zachowuje się jak mebel, to traktuję go jak mebel. Może tylko nie ścieram z niego kurzu – zażartowała.

Pani Marysia była drugą żoną Skowronka. Młodsza od niego o co najmniej dekadę, jak nie dwie, pod każdym względem zdawała się jego przeciwieństwem. Poznali się – jak to w tamtych czasach bywało – całkiem nieprzypadkowo, swatani przez rodziny obojga. Oboje po przejściach. Ona – z dwójką chłopaków z mlekiem pod nosem, uczepionych spódnicy – tyle co pochowała męża. On żonę i trójkę dzieci pochował dużo wcześniej, ale żałoba trzymała go stanowczo zbyt długo i dopiero zaczął wychodzić do ludzi. Jako że Marysine chłopaki potrzebowały męskiej ręki, jeszcze nim ciało ich ojca

zdażyło ostygnąć, zaaranżowano spotkanie na jakichś imieninach u ciotki bliższej lub dalszej dla każdego z nich, potem pilnowano, by nie tacy już młodzi (ona przecież dobiegała do trzydziestki, jemu pewnie czterdziestka stuknęła) wpadali na siebie czy to w drodze do sklepu, czy do kościoła, czy u życzliwego im sąsiada. Nie było to wcale takie proste, bo mieszkali w różnych miejscowościach i wciąż trzeba było szukać pretekstu, by jedno drugiemu miało szansę stanąć na drodze. Tu poproszono Marysię, by pomogła w kuchni, w ogrodzie, przy dzieciach, tam ręce Radka okazały się niezbędne przy jakichś pracach. Przy okazji jedno drugie zawsze odwiedziło. Mimo to Radkowi długo wbijano do głowy, by się oświadczył, bo mu ta może i ciut przechodzona, ale nadal piękna łania ucieknie sprzed nosa. Mimo zmęczenia na twarzy i postawy, która jasno pokazywała, że smutek przygina ją do ziemi, nadal była atrakcyjna. Zielone oczy, choć wówczas lekko zszarzałe, wciąż chciały iskrzyć, a uśmiech – mimo prób powstrzymywania go – wypełzał na twarz, czyniąc ją młodszą, łagodniejszą. „Słoneczko” – mówił do Marysi Skowronek, a ona właśnie takim słoneczkiem się stawiała. Rozjaśniła mrok, w którym pogrążył się po tym, jak pochował żonę i dzieci.

Dla pasierbów był dobry. Może chciał dostrzec w nich cząstkę swoich dzieci, choć te umarły, mając kilka lat mniej niż Jacek i Tomek w momencie, gdy się poznali. Uczył ich wszystkiego, czego ojciec powinien uczyć synów, dużo wymagał, ale nie był nadmiernie surowy, a autorytet u chłopaków budował swoimi umiejętnościami i spokojem, którego pozazdrościłby święty. Bracia pokochali go prawie od razu, zauroczeni silnym, mądrym mężczyzną, on ich polubił, bo Maryśka dobrze ich wychowywała, a na szorstką męską miłość czas przyszedł później. Nie, żeby relacje między nimi układały się cukierkowo, bo kiedy Jacek i Tomek dorastali, dawali rodzicom do wiwatu, a gdy pewnego razu do domu przyprowadził ich milicjant, po rozmowie wychowawczej z Radkiem uspokoili się i choć nie siedzieli cicho jak trusie, to wybryki nie powtarzały się. Fakt, po tamtej rozmowie nie odzywali się do ojczyma przez prawie miesiąc, a wstyd piekł bardziej niż skóra, która pierwszy i jedyny raz posmakowała Radkowego pasa, ale Skowronek cierpliwie czekał, aż im złość na niego przejdzie. Topniała z dnia na dzień, a cisza między nimi zakończyła się, gdy Tomek poprosił podczas śniadania o sól i Radek mu ją podał.

Jacek i Tomek ułożyli sobie życie z dala od rodziców. Jacek poszedł na studia do Poznania, tam poznał swoją przyszłą żonę, razem postanowili przeprowadzić się do Warszawy, gdzie urodziły im się dwie córki. Późno, Jacek był wtedy po czterdziestce, Marysia była pewna, że już babcią nie zostanie. Tomek wyjechał do pracy do Anglii. Miał tam być tylko sezon, ale ten przedłużał się, aż pewnego dnia, podczas wizyty w Polsce oznajmił, że postanowił nie wracać do kraju, bo nie widzi tu perspektyw. Marysia popłakała kilka nocy, ale potem uznała, że nie ma co rozpaczać nad szczęściem dziecka, zapisała się na kurs komputerowy i dziś z wnuczkami (Tomkowi też obrodziło w córki, bliźniaczki, i też nie spieszył się, by powołać je na ten świat) komunikowała się za pomocą Skype'a.

Pani Marysia Skowronek – dla mnie zawsze pani, choć traktowałam ją jak ciocię – w odróżnieniu od swojego męża była gadułą. Znałam historię jej rodziny do kilku pokoleń wstecz, wszystkie koligacje rodzinne, sąsiedzkie, a i czasem tak odległe, że gubiłam się w zawiłościach powiązań pomiędzy osobami, o których mi opowiadała. Wciąż była urocza, wciąż miała w sobie słoneczko, o którym mówił jej mąż, kochało się ją od pierwszego wejrzenia. O takich osobach mówi się, że są dobrymi ludźmi. Łaknie się ich towarzystwa, bo zarażają swoim optymizmem, czarują życiową mądrością, a samą obecnością dają poczucie bezpieczeństwa.

Pani Marysia mieszkała po sąsiedzku, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Przyjaźniła się z moją mamą, choć dzieliła je różnica wieku. Ja, moi starsi bracia i jej dzieciaki praktycznie wychowywaliśmy się wspólnie. Jako jedyna dziewczynka w tamtym towarzystwie skradłam jej serce, pozwalając wiązać kokardy na włosach, nosząc uszyte przez nią spódniczki czy bawiąc się lalkami, które kupowała dla mnie w pobliskim kiosku Ruchu. Szczerze mówiąc, niewiele z tego pamiętam, ale z tamtego okresu zachowało się całkiem sporo zdjęć dokumentujących zażyłość naszych rodzin. Podobno nazywałam ją ciocią i zwykłam skarżyć jej na rodziców, gdy mnie zdenerwowali. Po śmierci pierwszego męża wraz z synami wyprowadziła się najpierw do swoich rodziców, a potem wyszła za mąż za Skowronka. Początkowo z mamą pisały do siebie listy, ale po paru latach kontakt się urwał. Praktycznie zapomniałam o jej istnieniu.

Spotkałam ją niemal po ćwierćwieczu, przypadkiem, podczas zakupów w supermarkecie. Dopiero poznawałam miasto. Mieszkaliśmy tu od dwóch tygodni i

oswajaliśmy się z rzeczywistością – niby nie tak odległą i nie tak różną od tej, którą zostawiliśmy za sobą, ale w szczegółach na tyle inną, że potrafiliśmy się pogubić w codzienności, już nie szarej, bo zupełnie nowej, czasem aż jaskrawie fascynującej. Marek, mój mąż, dostał awans i został przeniesiony do tutejszej filii firmy, a ja z dziećmi podążyłam za nim, jak dobra żona powinna. Przyzwyczajanie się do zmian nie przychodziło mi łatwo, jednak muszę przyznać, że w nowym mieście wylądowałam miękko. Niemal od razu znalazłam pracę w przedszkolu, może faktycznie na stanowisku poniżej moich oczekiwań, ale nie od razu Kraków zbudowano... Sylwia i Natalia prawie natychmiast zaadaptowały się w nowym środowisku, a Marek... Cóż, Marek, gdyby mógł, skakałby z radości pod sam sufit, ale po pracy był tak zmęczony, że przekraczał próg naszego świeżo odremontowanego domu, ledwie powłócząc nogami. Zasypiał, na szczęście, z uśmiechem na ustach.

Zupełnie zapomniałam o tym, że ciocia – teraz pani – Marysia wiele lat temu tutaj się przeprowadziła. Prawdę powiedziawszy, zapomniałam nawet o niej samej. Istniała dla mnie tylko jako odległe wspomnienie kogoś, kto był obecny w moim życiu, jednak został zastąpiony przez ludzi, którzy byli mi bardziej potrzebni, czy zwyczajnie mieli okazję się w mojej codzienności choć na chwilę zapisać.

Akurat zanurkowałam w wózku na zakupy, bo przez pomyłkę wrzuciłam do niego „niewłaściwy” majonez i Marek nie omieszkiał mi wypomnieć, że rozpozna smak i nie tknie niczego, co z nim zostanie przygotowane. Wkurzyłam się na niego i już miałam się odgryźć, że jak dla mnie może nie żreć w ogóle, gdy usłyszałam za sobą stanowczo zbyt głośne:

– Kogo moje oczy widzą?! Ewuuuuuuniaaaaa!